

NICHOLAS SPARKS SZCZĘŚCIARZ



Clayton i Thibault

Zastępca szeryfa Keith Clayton nie słyszał, kiedy się zblizali, a z bliska nie spodobali mu się jeszcze bardziej niż z daleka. Po części z powodu psa. Nie lubił owczarków niemieckich, a ten, mimo że stał spokojnie, przypominał mu Panterę, psa policyjnego, który towarzyszył zastępcy szeryfa Kenny'emu Moore'owi i który na najmniejszą komendę rzucał się do krocza podejrzanego. Ogólnie rzecz biorąc, Clayton uważał Moore'a za idiotę, ale w gruncie rzeczy nie miał w policji bliższego przyjaciela. Musiał też przyznać, że Moore opowiadał te swoje historie o wygryzionych przez Panterę kroczech w taki sposób, że Clayton dosłownie zwiijał się ze śmiechu. Moore z pewnością doceniłby jego opowieść o tym, jak spłoszył dwie studentki opalające się nad potokiem w całym porannym blasku swojej nagości. Był tam jedynie kilka minut i zdążył zrobić aparatem cyfrowym zaledwie parę zdjęć, kiedy zobaczył trzecią dziewczynę wyłaniającą się zza krzewu hortensji. Szybko rzucił aparat w krzaki za sobą, wyszedł zza drzewa i chwilę później stanął twarzą w twarz z nieznajomą.

— I cóż my tu widzimy? — zapytał, starając się zbić ją z pantałyku.

Nie był zadowolony z tego, że został przyłapany na gorącym uczynku, tak samo, jak nie był zadowolony ze swojej banalnej

odzywki. Zwykle szło mu lepiej. Znacznie lepiej. Na szczęście dziewczyna była zbyt speszona, żeby cokolwiek zauważyć, i cofając się, o mało nie upadła. Wyjąkała coś w odpowiedzi, próbując zasłonić się rękami. Wyglądało to tak, jakby sama ze sobą grała w twistera*.

Clayton nawet nie próbował się odwrócić. Zamiast tego uśmiechnął się, udając, że nie widzi jej nagości, jakby spotkanie gołych kobiet w lesie stanowiło dla niego chleb powszedni. Nie miał wątpliwości, że nie widziała aparatu.

— Spokojnie, nie denerwuj się. Co tu się dzieje? — zapytał.

Doskonale wiedział, co się dzieje. Zdarzało się to po kilka razy każdego lata, ale szczególnie w sierpniu: dziewczęta z Chapel Hill albo North Carolina State w długi weekend „ostatniej szansy”, przed rozpoczęciem jesienno semestru, ciągnęły na plażę na Emerald Island. Często korzystały przy tym ze starej drogi, którą zwożono bale drzewa, wijącej się wyboiście na przestrzeni jakichś dwóch kilometrów przez las państwowy aż do miejsca, gdzie Swan Creek ostro skręcał ku South River. Znajdowała się tam kamienista plaża, która była prawdziwą mekką dla amatorów opalania się nago. Jak do tego doszło, Clayton nie wiedział, w każdym razie starał się zaglądać tam jak najczęściej w nadziei, że a nuż dopisze mu szczęście. Dwa tygodnie temu natknął się na sześć ślicznotek; dziś były trzy, z czego dwie, które leżały na ręczniku, sięgały już właśnie po T-shirtki. I chociaż jedna z nich wydawała się nieco ciężkawa, to przecież pozostałe — ze stojącą przed nim brunetką włącznie — miały figurki, za którymi przepadała studencka brać. A i szeryfowie też.

— Nie wiedziałyśmy, że kogokolwiek tutaj spotkamy! Myślałyśmy, że wszystko będzie okay!

Buzia dziewczyny wydała mu się dostatecznie niewinna, żeby pomyśleć: Czy jej tata nie byłby dumny, gdyby wiedział, na co stać

* Gra zręcznościowa polegająca na tym, że należy utrzymać równowagę, stając na rękach i stopach na coraz to innych polach specjalnie do tego przystosowanej maty.

jego małą córeczkę? Z rozbawieniem wyobraził sobie, jak by na to zareagowała, ale ponieważ był w mundurze, wiedział, że musi zachowywać się oficjalnie. Poza tym zdawał sobie sprawę, że kusi los. Gdyby rozniosło się, że biuro szeryfa patroluje te tereny, to już nigdy więcej nie byłoby tu żadnych dziewczyn, a czegoś takiego Clayton w ogóle nie brał pod uwagę.

— Chodźmy, porozmawiamy z twoimi koleżankami.

Ruszył za dziewczyną w kierunku plaży, przyglądając się, jak próbuje zakryć sobie pupę, i napawając się tym małym spektaklem. Do czasu kiedy wyszli spośród drzew i znaleźli się na otwartej przestrzeni nad rzeką, przyjaciółki jego ofiary zdążyły już naciągnąć koszulki. Brunetka puściła się biegiem w ich stronę i szarpnęła za ręcznik, przewracając puszki piwa. Clayton wskazał w stronę pobliskiego drzewa.

— Nie widziałyście znaku?

Jak na komendę dziewczyny spojrzały za jego ręką. Ludzie to stado baranów, które tylko czekają na jakiś rozkaz, pomyślał. Znak, mały i częściowo zasłonięty przez nisko opadające gałęzie sędziwego dębu, został tu umieszczony na polecenie sędziego Kendricka Clayтона, a prywatnie jego stryja. Jednak sam pomysł ustawienia znaku wyszedł od Keitha, który doskonale wiedział, że taki zakaz w miejscu publicznym doda mu tylko atrakcyjności.

— Nie zauważyłyśmy tego znaku! — wykrzyknęła brunetka, odwracając się przodem do Clayтона. — Nie wiedziałyśmy o nim! Dopiero kilka dni temu usłyszałyśmy o tym miejscu! — Dziewczyna nie przestawała protestować, cały czas szarpiąc się z ręcznikiem. Jej koleżanki były zbyt przerażone, żeby ją wesprzeć; w międzyczasie rozpaczliwie usiłowały naciągnąć majtki od bikini. — Jesteśmy tu pierwszy raz!

Głos dziewczyny chwilami przypominał rozgrymaszone pannice z bractwa studenckiego, do którego zapewne wszystkie trzy należały. Miały ten charakterystyczny sznyt.

— Nie wiedziałyście, że pokazywanie nagości w miejscach publicznych jest w tym kraju wykroczeniem?

Widział, jak młode twarze dziewcząt jeszcze bardziej bledną na myśl o tym, że to drobne wykroczenie położy się cieniem na ich opinii. Podglądanie takich świeżynek to przyjemność, ale Clayton zdawał sobie sprawę, że nie może posunąć się za daleko.

— Jak się nazywasz?

— Amy. — Brunetka przełknęła nerwowo ślinę. — Amy White.

— Skąd jesteś?

— Z Chapel Hill. Ale pochodzę z Charlotte.

— O, widzę tu alkohol. Czy wszystkie macie ukończone dwadzieścia jeden lat?

Po raz pierwszy odezwały się pozostałe dwie dziewczyny:

— Tak jest, mamy.

— W porządku, Amy. A teraz wam powiem, co zamierzam zrobić. Otóż biorę za dobrą monetę wasze słowo, że nie zauważyłyście znaku zakazu i że jesteście wystarczająco dorosłe na to, żeby pić alkohol, i nie zrobię z tego sprawy, a nawet więcej — udam, że w ogóle mnie tu nie było, ale pod warunkiem, że się nie przyznacie przed moim szefem, że was, ot tak sobie, puściłem.

Dziewczyny nie wiedziały, czy mają mu wierzyć, czy nie.

— Naprawdę?

— Naprawdę — odparł Clayton. — Ja też kiedyś byłem studentem. — Nie był, ale wiedział, że to dobrze zabrzmiało. — No cóż, pewnie chciałybyście się ubrać. Nigdy nie wiadomo, zawsze ktoś się może zniecka pojawić. — Clayton błysnął uśmiechem. — I pamiętajcie, żeby posprzątać wszystkie puszkę, dobrze?

— Tak jest, proszę pana.

— Cieszę się. — Clayton zabierał się do odejścia.

— I to... wszystko? — zapytała Amy.

Odwrócił się i ponownie uśmiechnął.

— Wszystko. A na przyszłość, uważajcie.

W poczuciu, że dobrze załatwił sprawę, Clayton ruszył do swojego wozu terenowego, rozgarniając po drodze krzewy i od czasu do czasu schylając głowę przed gałęziami. Może nawet bardzo dobrze. Amy uśmiechnęła się do niego, a jemu, kiedy już

odchodził, przemknęło przez myśl, żeby zawrócić i poprosić ją o numer telefonu. Jednak nie, zdecydował, lepiej zostawić ją w spokoju. Najprawdopodobniej dziewczyny pochwałą się przyjaciółkom, że wprawdzie złapał je szeryf, ale nic im nie zrobił. Rozpuszczą wieść, że tutejsi szeryfowie są cool. W każdym razie przedzierając się przez las, miał nadzieję, że zdjęcia dobrze wyszły i że będą stanowiły miłe uzupełnienie jego niewielkiej kolekcji.

W sumie dzień okazał się fantastyczny. Clayton miał właśnie zamiar wrócić po aparat, kiedy usłyszał gwizdanie. Podążając za dźwiękiem, dotarł do drogi, którą zwożono bale z wycinki, i tam zobaczył idącego wolno mężczyznę z psem. Nieznajomy przypominał hipisa z lat sześćdziesiątych, ale nie towarzyszył dziewczynom; co do tego Clayton nie miał wątpliwości. Robił wrażenie za starego jak na studenta, musiał mieć pod trzydziestkę. Jego długie włosy przypominały Claytonowi wronie gniazdo; z tyłu, pod plecakiem, rysował się śpiwór. Nie był to po prostu ktoś, kto się wybrał na jednodniową wycieczkę na plażę, tylko ktoś, kto od dłuższego czasu wędruje, obozując po drodze w namiocie. Trudno powiedzieć, od jak dawna był w tej okolicy i co widział.

Może robił zdjęcia, tak jak Clayton?

Nie, to wykluczone, wręcz niemożliwe. Mężczyzna był niewidoczny od strony głównej drogi, ale Clayton z pewnością by słyszał, gdyby ktoś szedł przez gęste poszycie lasu. Poza tym miejsce wydawało się dziwne jak na uprawianie turystyki. Znajdowali się na odludziu i Clayton w najmniejszym nawet stopniu nie życzył sobie, aby tu, gdzie pojawiały się studentki, przyłazili jacyś hipisowscy włóczędzy.

Tymczasem nieznajomy zdążył go minąć. Był już blisko samochodu policyjnego i kierował się w stronę jeepa dziewczyn. Clayton wyszedł na drogę i odchrząknął. Mężczyzna i pies odwrócili się.

Clayton oceniał ich dalej z pewnej odległości. Mężczyzna, podobnie jak i jego pies, wydawał się niespieszony nagłym pojawieniem się szeryfa, ale w jego spojrzeniu było coś, co

wzbudziło w Claytonie niepokój. Jakby facet się go tu spodziewał. Tak samo jego owczarek. Spojrzenie psa było wyniosłe, a jednocześnie czujne, prawie inteligentne. Często wyglądał tak Pantera chwilę przed tym, nim go Moore spuszczał ze smyczy. Żołądek podjechał Claytonowi do gardła; z trudem powstrzymał się przed zakryciem swojej męskości.

Przez dłuższą chwilę mężczyźni patrzyli na siebie bez słowa. Clayton wiedział nie od dziś, że widok munduru na ogół budzi respekt. Każdy, nawet niewinny człowiek reagował nerwowo na jego widok i Clayton sądził, że nieznajomy nie stanowi w tej sprawie wyjątku. Był to jeden z powodów, dla których tak dobrze czuł się w roli zastępcy szeryfa.

— Masz smycz dla psa? — zapytał tonem bardziej przypominającym komendę niż pytanie.

— W plecaku.

Clayton nie zauważył w głosie mężczyzny żadnego akcentu. „Angielszczyzna Johnny’ego Carsona”*, jakby powiedziała jego matka.

— To proszę wziąć psa na smycz.

— Nie ma obawy, nie ruszy się bez mojej komendy.

— Mimo to proszę wziąć go na smycz.

Mężczyzna zdjął plecak i zaczął w nim grzebać; Clayton wyciągał szyję w nadziei, że zauważy coś, co mógłby uznać za narkotyki czy broń. Chwilę później pies znalazł się na smyczy, a nieznajomy patrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Ciekawe, co teraz”.

— Co tutaj robisz? — zapytał Clayton.

— Jestem na wycieczce.

— Masz spory bagaż jak na wycieczkę.

Mężczyzna nie odezwał się słowem.

— A może przyszedłeś tu kogoś podglądać, co?

— Po to tu ludzie przychodzą?

* Amerykański showman i prezenter telewizyjny.

Claytonowi nie spodobał się ton mężczyzny ani zawarta w jego słowach insynuacja.

— Poproszę jakiś dowód tożsamości.

Mężczyzna ponownie pochylił się nad plecakiem i wyjął z niego paszport, a następnie wyciągnął w stronę psa otwartą dłoń, dając mu w ten sposób sygnał, że ma się nie ruszać z miejsca, po czym zrobił krok w stronę Claytona i wręczył mu dokument.

— Nie masz prawa jazdy?

— Nie mam.

Clayton wpatrywał się w nazwisko nieznanego, nieznacznie poruszając ustami.

— Logan Thibault?

Mężczyzna skinął głową.

— Skąd pochodzisz?

— Z Kolorado.

— To kawał drogi stąd.

Nieznajomy milczał.

— Masz jakiś określony cel podróży?

— Arden.

— A co takiego szczególnego jest w Arden?

— Nie wiem. Jeszcze tam nie byłem.

Clayton zmarszczył brwi. Odpowiedź wydała mu się zbyt cwana. Zbyt... prowokacyjna? W każdym razie zbyt jakaś. Obojętne. Nagle uświadomił sobie, że ten facet mu się nie podoba.

— Zaczekaj tu — powiedział. — Pozwolisz, że cię sprawdzę?

— Proszę bardzo.

Idąc w stronę samochodu, Clayton obejrzał się przez ramię. Widział, jak mężczyzna wyjmuje z plecaka miseczkę i nalewa do niej wody z butelki, jakby w ogóle niczym się nie przejął.

To się jeszcze okaże! W samochodzie Clayton nadał przez radio nazwisko, które przeliterował, po czym usłyszał głos dyspozytorki:

— To się wymawia Ti-bou, a nie Taj-bolt. Thibault to francuskie nazwisko.

— A co mnie obchodzi, jak należy je wymawiać.

— Po prostu chciałam powiedzieć...
— Wszystko jedno, Marge. Po prostu sprawdź go, dobrze?
— Wygląda na Francuza?
— A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć, jak wygląda Francuz?
— Po prostu jestem ciekawa. Nie bądź taki drażliwy. Mam tu urwanie głowy.

Tak, urwanie głowy, pomyślał Clayton. Obżera się pączkami. Marge wsuwała co najmniej tuzin krispy kremes dziennie. Musiała ważyć przynajmniej ze sto pięćdziesiąt kilo.

Przez okno widział nieznanego, który kuczał koło psa, coś do niego mówiąc i przyglądając się, jak owczarek chłepcze wodę. Pokręcił głową. Rozmowy ze zwierzętami! Świr. Jakby pies rozumiał cokolwiek, poza podstawowymi poleceniami. Była żona Clayтона też robiła takie numery. Ta kobieta traktowała psy jak ludzi i już tylko to powinno być dla niego wystarczającym ostrzeżeniem, że należy trzymać się od niej z daleka.

— Nic tu nie widzę — Clayton usłyszał głos Marge. Zabrzmiało tak, jakby dziewczyna coś jadła. — Żadnych szczególnych haków.

— Jesteś pewna?

— Jestem. Znam się na swojej robocie.

Mężczyzna, jakby się przysłuchiwał tej rozmowie, schował miszkę do plecaka, który następnie przewiesił sobie przez ramię.

— Były może jakieś inne niecodzienne telefony? Ktoś się kręcił czy coś w tym rodzaju?

— Nie. Dziś panuje spokój. A przy okazji, gdzie jesteś? Twój tata próbował się z tobą skontaktować.

Ojciec Clayтона był szeryfem na szczeblu hrabstwa.

— Powiedz mu, że niedługo wrócę.

— Kiedy jest wściekły.

— Powiedz mu, że jestem na patrolu, okay?

Żeby wiedział, że pracuję — tego już nie dodał.

— W porządku.

To już lepiej.

— Muszę iść.

Clayton odłożył na miejsce sprzęt radiowy i przez chwilę siedział bez ruchu, odczuwając lekkie rozczarowanie. Fajnie byłoby zobaczyć, jakby się facet zachowywał w czasie aresztowania — z tymi babskimi włosami, i w ogóle. Bracia Landry mieliby z nim używanie. Byli stałymi klientami aresztu dosłownie w każdy sobotni wieczór: pijaństwo, awantury, zakłócanie spokoju i bójk, przeważnie między sobą. Chyba że siedzieli w pudle. Wtedy czepiali się kogo popadnie.

Clayton bawił się przez chwilę klamką drzwi samochodu. Ciekawe, o co tym razem ojciec się wściekał. Stary go wkurzał. Zrób to, zrób tamto. Co, jeszcze nie załatwiłeś tych papierów? Dlaczego się spóźniasz? Gdzie byłeś? Miał ochotę powiedzieć ojcu, żeby się, do cholery, nie wtrącał w nie swoje sprawy. Ciągle mu się wydawało, że tu rządzi.

Zresztą wszystko jedno. Prędzej czy później uświadomi sobie, jak jest naprawdę. A tymczasem trzeba pozbyć się stąd tego hipisa, zanim pojawią się dziewczyny. Ostatecznie wstęp jest tu wzbroniony, no nie? Szkoda, żeby takie świry zrujnowały to miejsce.

Clayton wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi. Kiedy się zbliżał do nieznanego, pies nastawił uszu. Clayton zwrócił mężczyźnie paszport.

— Przepraszam za utrudnienia, panie Thibault. — Tym razem celowo zadbał o wymowę nazwiska. — Ale to należy do moich obowiązków. No, chyba że ma pan w plecaku narkotyki albo broń.

— Nie mam.

— A miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy to sprawdzili?

— Właściwie to nie. Tylko że Czwarta Poprawka i w ogóle...

— O, widzę, że masz śpiwór. Obozowałeś pod gołym niebem?

— Ubiegłą noc spędziłem w hrabstwie Burke.

Clayton przyglądał się facetowi, zastanawiając się nad jego odpowiedzią.

— Tutaj nie ma odpowiednich miejsc na obozowanie.

Mężczyzna milczał.

Clayton pierwszy odwrócił wzrok.

— I proszę pamiętać o trzymaniu psa na smyczy.

— Nie sądziłem, że w tym hrabstwie są w tej sprawie jakies szczególne przepisy.

— Bo nie ma. Chodzi o bezpieczeństwo twojego psa. Na głównej drodze jest duży ruch.

— Wezmę to pod uwagę.

— W porządku. — Clayton odwrócił się, żeby iść, ale po chwili znów się zatrzymał. — Jeśli wolno spytać: od jak dawna przebywasz na tym terenie?

— Dopiero co przyszedłem. A dlaczego?

W odpowiedzi nieznajomego było coś, co skłoniło Clayтона do zastanowienia. Po chwili wahania uświadomił sobie ponownie, że facet w żadnym razie nie mógł wiedzieć, co on tu robił.

— Tak, bez żadnego powodu.

— Mogę już iść?

— Okay, możesz.

Clayton przez chwilę patrzył, jak mężczyzna z psem rusza przed siebie, a następnie skręca w wąską ścieżkę i znika w lesie. Wtedy wrócił na swój pierwotny punkt obserwacyjny, gdzie zostawił aparat. Zaczął macać ręką wśród krzewów, kopiąc igliwie i parę razy korygując kierunek. W końcu padł na kolana, czując narastającą panikę. Aparat należał do biura szeryfa. Clayton wypożyczał go tylko na swoje specjalne wypadki i gdyby się okazało, że znikł, naraziłby się na wiele niewygodnych pytań ze strony ojca. A jeszcze gorzej byłoby, gdyby ktoś go znalazł z kartą pamięci pełną zdjęć gołych lasek. Ojciec był fanatykiem przestrzegania przepisów i odpowiedzialnych zachowań.

Po upływie kilku minut usłyszał dochodzący z daleka gardłowy ryk zapalnego silnika i domyślił się, że to odjeżdżają dziewczęta; jak błyskawica przemknęło mu przez głowę: co by pomyślały, gdyby zobaczyły, że jeszcze tu tkwi. Ale nie zastanawiał się nad tym dłużej, miał ważniejsze sprawy na głowie.

Aparat znikł.

Nie został zgubiony. Po prostu znikł. I na pewno nie odszedł na

własnych nogach. Nie mogły go też znaleźć dziewczyny. A to znaczyło, że Taj-bolt dalej sobie z nim igra. Taj-bolt robi sobie z niego jaja. To nie do wiary. Od początku był zdania, że facet jest za sprytny, trochę za bardzo w stylu filmu *Koszmar minionego lata*.

Nie ujdzie mu to na sucho, jeszcze czego. Żaden gadający z psem brudny świr nie będzie sobie robił jaj z Keitha Claytona. W każdym razie nie w tym życiu.

Przedzierając się przez zarośla, ruszył w stronę drogi, w nadziei, że złapie jeszcze Logana Taj-bolta i lepiej mu się przyjrzy. Tyle na początek. Potem będzie więcej, co do tego nie miał wątpliwości. Facet chce mu dokuczyć? Nic z tego. Nie w tym mieście. A pies? Że się zdenerwuje? Clayton ma go w nosie. Pa, pa, piesku! I tyle. Owczarek niemiecki to prawie broń — każdy sąd to przyzna.

Dobrze, ale wszystko po kolei. Najpierw musi znaleźć Thibaulta. Potem odzyskać aparat. A następnie zastanowić się nad kolejnym krokiem.

I właśnie w tym momencie, zbliżając się do swojego samochodu, zauważył, że z tyłu, zamiast opon, ma dwa flaki.

*

— To jak powiedziałeś, że się nazywasz?

Thibault przechylił się przez przednie siedzenie i przekrzykując wycie wiatru, powtórzył:

— Logan Thibault. — Po czym, pokazując kciukiem przez ramię, dodał: — To jest Zeus.

Zeus siedział z tyłu pędzącego w kierunku autostrady jeeпа z wywalonym ozorem i z nosem wystawionym na wiatr.

— Ładne psisko. Ja jestem Amy. A to Jennifer i Lori.

Thibault obejrzał się za siebie.

— Cześć.

— Cześć.

Dziewczyny robiły wrażenie przygaszonych. Nic dziwnego, zważywszy na niedawne przeżycia.

— Dzięki za podwiezienie.

— Drobiazg. Mówiłeś, że się wybierasz do Hampton?

— Jeśli to dla was nie za daleko.

— Nie, dokładnie po drodze.

Thibault zszedł z przesieki, zmarudził chwilę w lesie i dokładnie w momencie, kiedy wrócił na skraj drogi, zauważył nadjeżdżające dziewczyny. Wystawił kciuk do góry, rad, że ma przy sobie Zeusa, i jeep zatrzymał się niemal natychmiast.

Czasem sprawy układają się dokładnie tak, jak powinny.

Wbrew pozorom widział dziewczyny już wcześniej, rano, kiedy przyjechały — obozował za dzielącym go od plaży wzgórzem — ale kiedy tylko zaczęły się rozbierać, postanowił nie zakłócać im niezbędnej prywatności. Zaliczył ich zachowanie do kategorii: „Jeśli nie robisz nikomu krzywdy, to znaczy, że nie ma w tym nic złego”. Poza nim w pobliżu nie było nikogo, a on nie zamierzał tkwić tu tylko po to, żeby się gapić. Co kogo obchodzi, że się dziewczyny rozbiorą albo że włożą bikini? Nie jego sprawa, uznał, aż do chwili, kiedy zobaczył nadjeżdżającego drogą zastępcę szeryfa w służbowym samochodzie Szeryfa Hrabstwa Hampton.

Thibault przyjrzał mu się dobrze przez przednią szybę i stwierdził, że w jego wyrazie twarzy jest coś nefajnego. Trudno powiedzieć, co to było, w każdym razie Thibault nie próbował tego analizować. Zawrócił i ruszył na skróty przez las. Kiedy dotarł na miejsce, widział, jak zastępca szeryfa przegląda zdjęcia w aparacie, po czym cicho zamyka drzwi samochodu i oddala się w kierunku wzgórza. Teoretycznie stróż prawa mógł być tutaj służbowo, ale ten miał taką minę jak Zeus, kiedy czekał na kawałek wołowiny. Wydawał się nadmiernie podniecony całą tą sytuacją.

Thibault nakazał Zeusowi zostać na miejscu, sam zaś zachował taką odległość, żeby zastępca szeryfa go nie usłyszał — reszta potoczyła się spontanicznie. Wiedział, że bezpośrednia konfrontacja była wykluczona — zastępca szeryfa powiedziałby, że zbierał dowody, a tam gdzie jest słowo przeciwko słowu, ktoś obcy nie ma najmniejszych szans z przedstawicielem prawa. Jakikolwiek fizyczne starcie tym bardziej nie wchodziło w grę — z pewnością

przyniosłoby więcej problemów niż korzyści, chociaż Thibault chętnie stanąłby oko w oko z facetem. Szczęśliwie — czy może nieszczęśliwie, to zależy od punktu widzenia — pojawiła się dziewczyna, zastępca szeryfa spanikował, a Thibault zobaczył, w którym miejscu wylądował aparat. Kiedy więc tych dwoje oddaliło się w kierunku pozostałych dziewcząt, podniósł go z ziemi. W tym momencie mógł po prostu z nim zniknąć, ale uznał, że facetowi należy się nauczka. Może nie jakaś poważna, ale wystarczająca, aby ocalić honor dziewczyn, sobie zapewnić realizację dalszych planów, a zastępcy szeryfa zepsuć przyjemność. Po to właśnie zawrócił, żeby przebić opony w wozie policyjnym.

— Och, zapomniałbym — odezwał się Thibault — znalazłem w lesie wasz aparat.

— Na pewno nie mój. Lori, Jen, czy któraś z was zgubiła aparat?

Obie dziewczyny potrząsnęły głowami.

— W każdym razie zatrzymajcie go — powiedział, kładąc aparat na siedzeniu. — I bardzo wam dziękuję za podwiezienie. Ja swój mam.

— Jesteś pewien? To musi być drogi sprzęt.

— Jestem pewien.

— Dzięki.

Thibault zauważył cienie igrające na twarzy dziewczyny. Pomyślał, że jest atrakcyjna na wielkowiejski sposób: miała dość wyraźne rysy, oliwkową cerę i piwne oczy nakrapiane orzechowymi plamkami. Pomyślał, że mógłby się na nią gapić godzinami.

— Hej, masz jakieś plany na weekend? — zapytała Amy. — Wybieramy się razem na plażę.

— Dzięki za zaproszenie, ale nie będę mógł z niego skorzystać.

— Założę się, że masz randkę ze swoją dziewczyną.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Na to mi wyglądasz.

Thibault zmusił się, aby odwrócić wzrok.

— Coś w tym rodzaju.

Thibault

Dziwne, kiedy się pomyśli, jak nieoczekiwane zwroty potrafi przybierać ludzkie życie. Jeszcze rok temu Thibault skwapliwie skorzystałby z możliwości spędzenia weekendu z Amy i jej przyjaciółkami. Było to prawdopodobnie dokładnie to, czego potrzebował, ale kiedy w upalne sierpniowe popołudnie dziewczyny wysadziły go na granicy miasta Hampton, pomachał im na do widzenia z uczuciem dziwnej ulgi. Zmęczyło go podtrzymywanie pozorów normalności.

Od chwili gdy przed pięcioma miesiącami opuścił Kolorado, nie spędził z własnej woli w niczym towarzystwie więcej niż parę godzin — z jednym wszakże wyjątkiem: starszego mężczyzny, właściciela farmy mlecznej położonej na południe od Little Rock, który pozwolił mu przenocować w wolnym pokoju na piętrze i który podczas obiadu był równie milczący jak Thibault. Gość poczuł wdzięczność do gospodarza za to, że nie zadręczał go pytaniami, skąd i dlaczego się tu wziął. Nie było pytań, nie było wścibstwa, nie było czytelnych aluzji. Mężczyzna w naturalny sposób przyjął fakt, że Thibault nie garnał się do rozmowy. A Thibault z wdzięczności spędził u niego parę dni, pomagając w naprawie dachu stodoły, zanim znów podjął wędrowkę z wyładowanym plecakiem i drepczącym za nim Zeusem.

Jeśli nie liczyć podwiezienia przez dziewczyny, Thibault całą drogę przebył pieszo. Od chwili kiedy w połowie marca zostawił u portiera klucze od swojego mieszkania, zdążył zedrzeć osiem par butów. Żywiąc się głównie batonikami Power Bars i pijąc wodę, pokonywał samotnie długie odcinki drogi między miastami. Raz tylko, w Tennessee, po trzech dniach praktycznie bez jedzenia, pożarł trzy sterty naleśników. Razem z Zeusem przeżywali śnieżyce, gradobicia, deszcze i upały tak intensywne, że skórę na ramionach pokrywały mu pęcherze. Raz w okolicach Tulsy w Oklahomie widział na horyzoncie tornado i dwa razy mało nie trafił go piorun. Często, chcąc uniknąć głównych szlaków, wybierał objazdy, co naturalnie powodowało nadłożenie drogi; czasem robił to dla kaprysu. Zwykle szedł, dopóki się nie zmęczył, a następnie szukał miejsca, w którym nie niepokojony przez nikogo mógłby rozbić obóz. Rano, żeby nie budzić niepotrzebnego zainteresowania, wyruszał w drogę jeszcze przed świtem. I aż do tej pory nikt go nie zaczepiał.

Oceniał, że pokonywał dziennie średnio trzydzieści kilometrów, chociaż nie mierzył dokładnie ani czasu, ani odległości. Nie o to w tej podróży chodziło. Część jego znajomych uważała, że szedł, żeby uciec od wspomnień związanych ze światem, który za sobą zostawił; inni, że podróżował dla samego podróżowania. Ani jedni, ani drudzy nie mieli racji. Thibault lubił chodzić i miał dokąd iść. Po prostu. Lubiał iść, kiedy chciał, w takim tempie, w jakim chciał, i tam, gdzie chciał. Po czterech latach wykonywania rozkazów w korpusie piechoty morskiej wolność miała dla niego szczególnie smak.

Matka martwiła się o niego, ale ostatecznie od czego są matki. A szczególnie jego matka. Dzwonił do niej co kilka dni, żeby ją uspokoić, że u niego wszystko w porządku, ale zwykle po przerwaniu połączenia miał uczucie, że nie jest wobec niej uczciwy. Nie było go prawie pięć lat i przed każdą z trzech kolejnych tur w Iraku wysłuchiwał przez telefon jej kazań i przestróg, żeby, broń Boże, nie robił niczego głupiego. Nie zrobił, ale przynajmniej kilka razy

był tego bliski. I chociaż nic jej nie mówił, to przecież matka czytała gazety.

— A teraz jeszcze to — lamentowała w ostatni wieczór przed jego wyruszeniem w drogę. — Cała ta sprawa wydaje mi się jednym wielkim szaleństwem.

Może miała rację, a może nie. Do tej pory nie wiedział.

— Co o tym sądzisz, Zeus?

Na dźwięk swojego imienia pies podniósł łeb i podbiegł do pana.

— Tak, wiem, jesteś głodny. Nic nowego.

Thibault zatrzymał się na parkingu zdewastowanego motelu na obrzeżach miasta. Wyjął z plecaka miskę i resztki psiego jedzenia. Kiedy Zeus się posilał, on chłonał widok miasta.

Hampton nie było najgorszym miejscem, jakie kiedykolwiek widział, ale i nie najlepszym. Położone na brzegach South River, w odległości około sześćdziesięciu kilometrów na północny zachód od Wilmington i wybrzeża, na pierwszy rzut oka niczym się nie różniło od innych samowystarczalnych robotniczych społeczności, jakimi usiane jest Południe, tak spragnionych dumy i historii. Parę świateł dyndających na obwisłych przewodach hamowało płynność ruchu ulicznego, który sunął w kierunku mostu spinającego brzegi rzeki. Po obu stronach głównej ulicy przysiadły niskie murowane budynki, pozlepiane razem i ciągnące się na przestrzeni około kilometra, z szyldami na frontowych oknach anonsującymi miejsca, w których można było coś zjeść, czegoś się napić czy kupić jakieś przedmioty codziennego użytku. Rozrzucone tu i tam stare magnolie siłą swoich korzeni rozpiewały chodniki. Z daleka Thibault zobaczył staroświecki zakład fryzjerski z nieodłączną gromadką starych mężczyzn siedzących na ławce przed jego frontem. Uśmiechnął się: ciekawostka. Jak wspomnienie z lat pięćdziesiątych.

Jednak kiedy przyjrzał się wszystkiemu uważniej, stwierdził, że pierwsze wrażenie było zwodnicze. Mimo położenia nad wodą — czy też może z tego właśnie powodu — Thibault zauważył symptomy niszczenia — w pobliżu linii dachów, w ceglach rozsypujących się przy fundamentach, w zastarzałych słonych

plamach widocznych około metra nad fundamentami, które wskazywały na poważne zalania w przeszłości. Żaden ze sklepów nie był jeszcze zabity deskami, ale sądząc z mizernej liczby parkujących przed nimi samochodów, można się było zastanawiać, jak długo jeszcze przetrwają. Handlowe dzielnice małych miasteczek szły w ślady dinozaurów, a jeśli Hampton nie stanowiło w tej sprawie wyjątku, to Thibault przypuszczał, że szykuje się nowe pole do popisu dla takich przedsięwzięć handlowych, jak Wal-Mart czy Piggly Wiggly, które wieszczyły koniec tej części miasta.

To dziwne, pomyślał Thibault, znaleźć się tutaj. Nie bardzo wiedział, jak sobie wyobrażał Hampton, ale w każdym razie nie tak.

A zresztą, wszystko jedno. Podczas gdy Zeus kończył swój posiłek, jego pan zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim ją znajdzie. Kobiętę z fotografii. Którą przyszedł tu poznać.

Ale znajdzie ją. Tego był pewien. Podniósł plecak.

— Gotowy?

Zeus zadarł łeb.

— Poszukamy pokoju. Muszę coś zjeść i wziąć prysznic. A tobie też przyda się kąpiel.

Thibault zrobił parę kroków. Kiedy stwierdził, że Zeus nie ruszył się z miejsca, obejrzał się przez ramię.

— Nie patrz tak na mnie. Zdecydowanie należy ci się kąpiel. Śmierdzisz, stary.

Zeus w dalszym ciągu ani drgnął.

— Dobra. Rób, co chcesz. Ja idę.

Thibault ruszył w stronę recepcji, żeby się zameldować. Wiedział, że w końcu Zeus pójdzie za nim. Ostatecznie zawsze szedł.

*

Do chwili znalezienia fotografii życie Thibaulta upływało tak, jak od dawna je zaplanował. Bo zawsze miał jakiś plan. Chciał mieć dobre wyniki w szkole i je miał, chciał uprawiać różne sporty i rzeczywiście w okresie dorastania próbował niemal wszystkiego. Chciał grać na pianinie i na skrzypcach i w obu dyscyplinach

osiągnął biegłość, która pozwalała mu komponować własną muzykę. Po skończeniu Uniwersytetu Kolorado postanowił wstąpić do piechoty morskiej. Oficer rekrutacyjny był zachwycony, że młody człowiek, zamiast po prostu zostać oficerem, zgłosił się do wojska. Zdumiony, ale zachwycony. Większość absolwentów nie garnęła się do bycia rekrutami, jak Thibault, któremu właśnie dokładnie to się marzyło.

Atak na World Trade Center nie wpłynął na jego decyzję. Przeciwnie, gdy do wojska wstępował człowiek, którego ojciec przez dwadzieścia pięć lat służył w piechocie morskiej, wydawało się to, szczególnie w tej sytuacji, czymś zupełnie naturalnym. Ojciec zaczął jako szeregowy, a skończył jako jeden z tych posiwiątych sierżantów o stalowej szczęce, którego bali się niemal wszyscy, z wyjątkiem jego żony i plutonów, którymi dowodził. Traktował tych młodych ludzi jak swoich synów, którym zawsze powtarzał, że jedynym jego celem jest zwrócenie ich matkom całych, zdrowych, żywych i dojrzałych. W ciągu tych wszystkich lat ojciec Thibaulta musiał uczestniczyć w co najmniej pięćdziesięciu ślubach facetów, którzy nie wyobrażali sobie ożenku bez jego błogosławieństwa. Dobrego marine. Za swoje zasługi ojciec dostał Brązową Gwiazdę i dwa Purpurowe Serca w Wietnamie. Służył w Grenadzie, Panamie, Bośni i walczył w pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej. Nie bał się zmian i w związku z tym Logan większą część młodości spędził, przenosząc się z miejsca na miejsce i mieszkając w bazach wojskowych na całym świecie. W pewnym sensie Okinawa była mu bardziej domem niż Kolorado i chociaż jego japoński wymagał odświeżenia, to Thibault był przekonany, że tydzień spędzony w Tokio przywróciłby mu dawną płynność mówienia w tym języku. Podobnie jak ojciec wyobrażał sobie, że przejdzie na wojskową emeryturę, ale odwrotnie niż Thibault senior, zamierzał zrobić to na tyle wcześnie, żeby móc się jeszcze nacieszyć życiem. Ojciec umarł na atak serca zaledwie dwa lata po tym, jak po raz ostatni odwiesił mundur do szafy. Był to rozległy zawał, który spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Odgarniał właśnie śnieg z podjazdu,

a już za chwilę nie żył. Zdarzyło się to trzynaście lat temu. Thibault miał wtedy piętnaście lat.

Ten dzień, a potem pogrzeb ojca, zapisał się w jego pamięci jako najważniejsze wspomnienie w życiu przed wstąpieniem do wojska. Dorastanie w rodzinie wojskowej sprawia, że przeżycia się zlewają — a to z powodu częstych przeprowadzek. Przyjaciele pojawiają się i znikają, ubranie jest nieustannie pakowane i rozpakowywane, kolejne mieszkania opróżniane są z niepotrzebnych rzeczy i w rezultacie niewiele z tego zostaje. Chwilami bywa to bardzo trudne, ale dziecko dorastające w tych warunkach staje się twarde na sposób, który niewielu rozumie. Uczy się, że mimo iż trzeba rozstawać się z ludźmi, to ich miejsce nieuchronnie zajmują inni i że w każdym nowym środowisku jest coś dobrego, ale również i złego. W takich warunkach szybciej się dojrzewa.

Nawet lata studiów pozostały mgliste w jego wspomnieniach, chociaż ten rozdział życia miał swoją odrębną rutynę. Nauka w ciągu tygodnia, przyjemności weekendowego odpoczynku, zakuwanie do egzaminów końcowych, podłe stołówkowe żarcie i dwie dziewczyny, z których jedna przetrwała dłużej niż rok. Każdy, kto studiował, ma do opowiedzenia te same historie, z których niewiele odciska na człowieku trwały ślad. W końcu zostawało tylko wykształcenie. Szczerze mówiąc, Thibault nie czuł, że jego życie się w ogóle zaczęło, dopóki nie przyjechał na Parris Island, gdzie odbywał szkolenie zasadnicze. Kiedy tylko wysiadł z autokaru, natychmiast zaczął na niego wrzeszczeć sierżant od musztry. Nikt tak jak sierżant od musztry nie da ci odczuć, że do tej pory nie było w twoim życiu nic, co by naprawdę się liczyło. A teraz byłeś już ich, i tyle. Jesteś dobry w sporcie, to proszę, robisz pięćdziesiąt pompek, panie Wielki Obrońco. Wyższe wykształcenie? — składasz ten karabin, Einsteinie. Ojciec służył w piechocie morskiej? — szorujesz latrynę tak pięknie, jak to robił twój stary. Te same wyświechtane numery. Biegiem, marsz, bacność, czołgać się w błocie, wspinać na mur. Nie było w szkoleniu zasadniczym nic takiego, czego by się Thibault nie spodziewał.